



Teraz My! 5 2002

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI Liceum Ogólnokształcącego
im. Hugona Kołłątaja

Wolę ludzi głupich

Andrzej Wójcik, kl. 4e

*Wolę ludzi złych niż głupich. Zły człowiek czasami odpoczywa.
Głupiec — nigdy.*

Ta myśl Anatola France'a natychmiast uruchomiła we mnie odruch sprzeciwu, choć nie od razu zrozumiałem dlaczego. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że najbardziej zaniepokoiły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze bezwzględnie krytykując głupich, autor tych słów stawia automatycznie samego siebie między „tymi mądrymi”. Po wtóre wydaje się on surowiej oceniać nieświadomość i brak logiki rozumowania niż zamierzoną nikczemność. Oba te spostrzeżenia nie pozwalają mi się podpisać pod myślą Anatola France'a.

W poniższych rozważaniach chciałbym rozwinąć moje wątpliwości. Gdybym kiedykolwiek wpadł na pomysł, żeby określić siebie jako mądrego, chciałbym najpierw wiedzieć, co to jest mądrość. I oto tu, na samym wstępie, napotkałem trudność nie do pokonania. Pomimo wielu wysiłków nie udało mi się bowiem znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Przyjrzyjcie się kolejnym etapom moich poszukiwań, bo są one mocno związane z rzeczością mojego krytycznego nastawienia do tezy France'a.

Jako pierwszy przyciągnął moją uwagę Anthony de Mello. Stwierdził mianowicie, iż mądrość (utożsamianą przez niego częściowo z samoświadomością) osiągnąć można łatwo i bez wysiłku dzięki prostej obserwacji samego siebie. Oczywiście natychmiast wprowadziłem ten pomysł w życie. Niestety, realizacja przyniosła mi wyłącznie rozczarowanie. Po pierwsze — weryfikacja samego siebie wcale nie jest łatwa. Po drugie — przeko-

W tym numerze

Teraz My!
Numer trzynasty, rok drugi
Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:
Grażyna Różewicz
Opieka edytorska:
Aleksandra Wróblewska
Adres internetowy:
<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

Andrzej Wójcik	<i>Wolę ludzi głupich</i>	1
Michał Szlęzak	<i>Epilog do „Lalki”, cz. II</i>	4
Anna Szczypczyńska	<i>Nie ma problemów globalnych, czyli „Koyaannisquatsi”</i>	6
	<i>Ślubowanie klas pierwszych</i>	7
Małgorzata Libman	<i>Wiersze</i>	8

nałem się na własnej skórze, że samoświadomość nie jest tożsama z mądrością. Okazało się, że nawet kiedy wiem, co robię i dlaczego to robię (a co gorsze nawet wtedy, kiedy mi się to zupełnie nie podoba) wcale nie mam pewności, że potrafię się powstrzymać od nieakceptowanych działań i przyjmując postawę przeciwną.

Postanowiłem sięgnąć do Biblii. W końcu o mądrości nasłuchiwałem się w kościele dużo.

Mądrość jest atrybutem Boga, Stary Testament traktuje głównie o mędracach, a jedna z części nosi pociągający dla mnie tytuł — „Księgi Mądrości”. Tu dowiedziałem się więcej niż od ojca de Mello. Wyczytałem, że Bóg jest Mądrością, że mądrość jest cnotą. Dowiedziałem się nawet, jak się zachowywać, co czynić i co myśleć, by zostać uznanym za mądrego. Gdy jednak ponownie zadałem sobie pytanie, czym jest sama mądrość, ujrzałem jakąś niedookreśloną mieszaninę sprawiedliwości, pokory, zapobiegliwości i szeroko rozumianej cnoty. Istota pojęcia pozostała jednak dla mnie tajemnicą.

Nadal szukam odpowiedzi w kolejnych lekturach. Duże nadzieje wiąże z pracami filozoficznymi księdza Tischnera, zwłaszcza z jego koncepcją „rozumu uskrzydłonego wiarą”. Jednak powoli dociera do mnie, że definicja mądrości pozostanie chyba nieuchwytna.

Czemu miał służyć ten przydługi, przypominający uzalanie się nad sobą, wywód?

Otóż miał on uzasadnić pierwszy z powodów, dla których nie mogę zgodzić się z twierdzeniem France’a. Powód ten wygląda, jak następuje: jeżeli szukając w tak bogatych źródłach nie odnalazłem do tej pory definicji mądrości, to w jaki sposób mam oddzielić ludzi mądrych od głupich? Już sama chęć dokonywania takich podziałów stawiałaby mnie wśród niedouczonej i bez powodu zadowolonych z siebie. Wśród głupców?

Jak mogę uznać wartość logiczną myśli France’a, skoro on sam nie dostrzegł tej pułapki?

Moje wątpliwości budzi jednak nie tylko łatwość, z jaką France dzieli ludzi na mądrych i głupich, ale i swoboda, z jaką dzieli ich na dobrych i złych.

Za człowieka złego zwykło się uważać kogoś, kto z rozmysłem, świadomie i dobrowolnie krzywdzi inną istotę (człowieka, zwierzę, roślinę, środowisko naturalne). Według mnie jest to zbyt duże uproszczenie. Nie ma ludzi do głębi złych i zepsutych. Zauważa to zresztą sam France stwierdzając, że „zły człowiek czasem odpoczywa”. I jest to z pewnością prawda. Nie da się być złym przez cały czas, gdyż jest to dosyć męczący tryb życia. Przykładów nie trzeba szukać daleko — wystarczy sięgnąć do „Makbeta” Szekspira. Zło tytułowego bohatera nie budzi niczyich wątpliwości. Zabił on przecież pogrążonego we śnie starca, który był jego królem i sojusznikiem. Nasłał oprawców na najbliższego przyjaciela — Banka. Wprowadził terror w rządzonej przez siebie Szkocji bezwzględnie mordując przeciwników politycznych. Nie oszczędził nawet ich rodzin — bezbronnych kobiet i dzieci. Całymi latami „nie odpoczywał”. I rzeczywiście poczuł się zmęczony. Nieustannie dręcząc innych doprowadził do tego, że jego własne życie dla niego samego stało się udręką. Perspektywa kolejnych dni, miesięcy i lat wręcz go przeraża:

*Ciągle to jutro, jutro i znów jutro
Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia,*

*Aż do ostatniej głoski czasokresu:
A wszystkie wczoraj to były pochodnie,
Które głupocie naszej przyświecały
W drodze do śmierci. Zgaśnij wąż światło!
Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrałszy na scenie
W nicość przepada — powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.*

W efekcie — śmierć w pojedynku z ręki Makdufa Makbet przyjmuje z ulgą, jako wybawienie od samego siebie i zła, które czynił. Jako szansę wiecznego odpoczynku — jeżeli nie od cierpienia (bo wie, co robił i co go może czekać w zaświatach) — to przynajmniej od własnej koszmarnej aktywności.

Również współczesna kultura masowa przynosi mnóstwo opowieści o ludziach złych zmęczonych własnym złem. Liczne powieści, filmy i seriale pełne są gangsterów, którzy w odruchu wstrętu do zła zwracają się przeciwko własnemu środowisku, przekupnych policjantów po latach korupcji w ostatnim geście szlachetności ratujących ofiarę za cenę własnego życia, cynicznych prawników na służbie zbrodni, którzy zaczynają nienawidzić samych siebie i wymierzają sobie sami karę sięgając po alkohol i narkotyki lub popełniając samobójstwo. Mam tu na myśli chociażby takie filmy jak: „Życie Carlita”, „Nietykalni”, „Ojciec Chrzestny”, „Adwokat diabła” czy powieści Terry’ego Pratchetta.

Z tych tekstów kultury różnych epok wynika, że nie ma ludzi do gruntu złych. Wprowadzanie takiej kategorii do myślenia o człowieku jest według mnie dużym i niebezpiecznym uproszczeniem. Jak się natomiast ma rzecz z głupimi? Anatol France jest dla nich bezlitosny — „nie odpoczywają nigdy”. Inaczej: „głupcem jest się cały czas”. W tym momencie czuję się w obowiązku wystąpić w obronie wszystkich głupców. Łącznie z samym sobą. Mogę z całym spokojem zapewnić, że bycie durniem jest niezwykle wyczerpujące i również wymusza robienie przerw — bywa, że na działanie (choćby niechcący) czegoś mądrego.

Aby to pojąć wystarczy wczuć się w sytuację kogoś, kto bezustannie podejmuje niewłaściwe decyzje życiowe. Większość błędów prędzej czy później wraca rykoszetem (lub bumerangiem) do tych, którzy je popełnili. Wystarczy przywołać takie postaci jak Orgon (Molier „Świętoszek”), Pangloss (Voltaire „Kandyd”), Pani Dulski (Zapolska „Moralność Pani Dulskiej”), Ptaclusp (Pratchett „Piramidy”) czy Bridget Jones (Fielding „Dziennik Bridget Jones”). Także moje osiemnastoletnie obserwacje życiowe — siebie samego i innych — skłaniają mnie do przekonania, że taki związek między naszymi czynami i ich konsekwencjami życiowymi istnieje. A zatem podkreślam — France się myli, głupiec także czasami odpoczywa.

Do czego zmierzam? Anatol France stawia obok siebie tych, którzy czynią zło umyślnie i z pełną świadomością skutków oraz tych, których błędy życiowe wynikają z niewiedzy. Mówiąc szczerze ja sam wolę mieć do czynienia z kimś nieświadomym niż z kimś zdemoralizowanym. Bez względu nawet na stopień, w jakim ten pierwszy byłby odporny na wiedzę.

Nasuwa mi się jeszcze jedna refleksja. Często za głupich skłonni jeste-

śmy uważać tych, którzy myślą inaczej niż my. „Co za idiota głosuje na kogoś takiego?!” słyszę nieraz dookoła. A gdy delikwent zmieni orientację polityczną, padają pochwały: „No! Nareszcie zmądrzał. Ostatecznie nie był taki głupi”. Jednak w świetle tego spostrzeżenia wielce niepokojące wydaje mi się to, że wielu z nas woli mieć do czynienia ze zwykłym draniem niż z człowiekiem o odmiennych poglądach.

Biorąc pod uwagę wszystko to, co wcześniej napisałem myślę, że nie muszę już chyba dalej tłumaczyć, dlaczego „złota myśl” Anatola France’a wydaje mi się bezsensowna.

Cóż, jeżeli w powyższej pracy nie wykazałem się dostateczną elokwencją, głębią refleksji i higieną myśli, należy mnie najprawdopodobniej zdiagnozować jako nieuleczalnego osła i zastąpić w przyszłości jakimś bardziej uświadomionym bandytą. Przyjmę to bez żalu. Całym sercem solidaryzuję się bowiem z głupimi tego świata.

Andrzej Wójcik ukończył Kołłątaja w roku 2001. Obecnie studiuje na Uniwersytecie Warszawskim.

Epilog do „Lalki”, cz. II

Michał Szlęzak, kl. 3e

Dokończenie. Początek w numerze 4/2002.

Tymczasem z dala od Warszawy pędziła smutny żywot dawno zapomniana przez wszystkich Izabela. Gdy dobrowolnie zgodziła się na podjęcie wyzwania, jakim było prowadzenie życia zakonnego, nie była w stanie przewidzieć, jak bardzo będzie nieszczęśliwa z dala od salonów, pełnych niewypowiedzianych pragnień, powłóczystych — a czasem (co sprawiało jej największą przyjemność — nieśmiały) spojrzeń, które ją bawiły. Z lubością wracała do tych momentów, oddalając się myślami od klasztornej rzeczywistości.

Pobył za murami niezbyt dobrze jej zrobił. Wspaniała niegdyś cera przybrała kolor, jaki można otrzymać mieszając białą farbę z popiołem. Skóra pomarszczyła się, oczy straciły blask, a włosy — jej wspaniałe blond włosy, które często wzbudzały podziw i zazdrość lwic salonowych w całej Europie — zostały ścięte.

Ale nie traciła nadziei. Czasami wydawało się jej, że jak księżniczka zamknięta w wieży czeka na wybranka, który ją oswobodzi. Co noc wychodziła na mury i wpatrywała się w ciemność.

Pewnego razu w oddali usłyszała tętent koni. Po chwili dostrzegła dwie postacie wyraźnie zmierzające w stronę klasztoru. Poprzez tumany kurzu przebijały się gromkie okrzyki i siarczyste przekleństwa. Były one wynikiem tego, że jeden z jeźdźców spadał, w dość regularnych odstępach czasowych, z konia. Nie zniechęcał się jednak. Byli to jej na najwytrwalsi adoratorzy: 60-letni baron i 70-letni marszałek. Dowiedziawszy się o nieszczęsnym losie Izabeli — przybyli na ratunek z odległej Ukrainy. Potłuczony baron usiadł ciężko na trawie, przywitawszy się najpierw z Izabelą, tak jak tego wymagała etykieta.

— Księżniczko, przybyliśmy cię oswobodzić z rąk okrutnych mnichów!

— Ależ marszałku, to zakon żeński.

— Dziecko, co oni z tobą zrobili! Powiedz tylko słowo, a wydobędziemy Cię stąd!

— Ach, mój boski!

— Co?! Powtórz, jeśli łaska! — nie dosłyszał marszałek.

— Na czym to stanęliśmy, aaa... Czy chcesz z nami jechać, piękna Izabelo?

Izabela była tak wzruszona, że nie mogła wydobyć głosu. Chciała, by ta chwila trwała — czuła się jak królowa. Chcąc przedłużyć ten moment powiedziała, że następnego dnia przyśle kogoś z wiadomością. Marszałek, który, żeby lepiej słyszeć, cały czas stał na palcach (a one zaczęły go już trochę pobolewać) zdenerwował się wobec braku natychmiastowej odpowiedzi. Po chwili, na szczęście, o tym zapomniał. Szczęście trwało jednak krótko, bo marszałek zapomniał także, w jakim celu przybył pod klasztor. Zirytowany przywołał więc barona i czym prędzej wyruszył w drogę powrotną. Ich odjazdowi towarzyszył szloch Izabeli, która nie próbowała nawet ich zawrócić. Prawdziwej damie przecież nie wypada zaczepiać mężczyzn w środku nocy.

I wydawałoby się, że to koniec sennych marzeń Izabeli o księciu, gdyby nie późniejsze wydarzenia. Nie minął dzień od niefortunnej akcji ratowniczej marszałka, gdy osłabione serce Izabeli jeszcze raz zabiło szybciej. W tumanach kurzu, który jeszcze dobrze nie osiadł, na horyzoncie pojawił się kochany pan Starski. Już w pierwszych słowach uprzedził, że nie zabawi długo, bo — jak to wyjaśnił — ma pewne drobne kłopoty z kobietą, którą poznał, a która okazała być się żoną komendanta żandarmerii. Ale — jak powiedział — czego się nie robi dla kuzynki.

Izabela spuściła Starskiemu prześcieradło, po którym ten zaczął się wspinać do jej celi. Niestety, nadeszła siostra przełożona, wezwwała księdza i wspólnymi siłami ściągnęli go z muru. Biedaczysko dostał się potem w ręce żandarmerii, a raczej jej żeńskiej części i odbywa teraz przymusowe roboty publiczne, czyli rozbija kamienie i dorywczo pracuje przeprowadzając dzieci przez trakty.

Papier się kończy, ręka boli. Cóż jeszcze wypada dodać?

Należałoby chyba wspomnieć o duchu Ignacego Rzeckiego, który zaczął regularnie nawiedzać panią Misiewiczową. Nie miał jednak dla niej zbyt wiele czasu, gdyż już na samym początku pobytu w zaświatach, pan Ignacy dostał zaproszenie na bal wydany przez Napoleona. Wziął ze sobą Katza oraz ojca i od tego się zaczęło. Już w pierwszej rozmowie cesarz rozpoznał w nim wytrawnego polityka. Rzecki stał się więc częstym gościem wszystkich Napoleonów i roztrząsając z wysokości najbardziej skomplikowane problemy ziemskiej polityki czuł się jak w ... niebie.

Schodząc na ziemię, widzimy jeszcze Węgiełka, który stał się bardzo obrotnym człowiekiem. Jego warsztat rozrósł się do rozmiarów sporego przedsiębiorstwa. Szlaugbaum, widząc to, chciał wciągnąć Węgiełka do swojej niecnej lichwiarskiej gry, ale tak się u niego zadłużył, że musiał sprzedać sklep.

Na koniec jeszcze jedno. Baronowa Krzeszowska co prawda umarła, ale czym prędzej zmartwychwstała, gdy zobaczyła wokół siebie same trupie czaszki. Nie pozostało jej nic innego jak pójść — śladem Izabeli — do klasztoru.

Nie ma problemów globalnych, czyli „Koyaannisquatsi”

Anna Szczypczyńska, kl. 4c

Film Godfrey’a Reggio „Koyaannisquatsi” to bardzo specyficzny przekaz. W czasie całej projekcji nie pada bowiem ani jedno słowo poza tytułem dzieła. Przez kilkadziesiąt minut oglądamy jedynie obrazy, którym towarzyszy doskonale dobrana muzyka pobudzająca do refleksji. Najbardziej niewiarygodny jest dla mnie fakt, że widz nawet przez chwilę nie jest znudzony — wręcz przeciwnie — każdą sekundę filmu ogląda z zapartym tchem i zapomina o całym świecie.

„Koyaannisquatsi” rozpoczyna się od ujęcia prehistorycznego malowidła skalnego przedstawiającego dziwne postaci przypominające ludzi w skafandrach kosmonautów. Następnie kolejno przyglądamy się różnym żywiołom. Obserwujemy skamieniałości o fantazyjnych kształtach, bogactwo kształtów chmur, które płyną po niebie w zawrotnym tempie, widzimy tańczące na wietrze płatki śniegu. Z lotu ptaka możemy podziwiać kolorowe łąki obsypane kwiatami. Wszystko to ukazane jest w tak niesamowity sposób dzięki niezwykłym ustawieniom kamery (przeważają ujęcia z góry) i środkom montażowym (głównym jest przyspieszenie), że robi wrażenie na każdym, nawet na mało wrażliwym na uroki przyrody widzu.

Kolejny obraz, który doskonale pamiętam, bo wywarł na mnie ogromne wrażenie, to ludzie siedzący i wygrzewający się na słońcu. Rozleniwieni dorośli chcą zadbać o swoją opaleniznę, a pełne energii dzieci biegają dookoła nich. Dopiero gdy kamera odjeżdża, odkrywamy, jak szokujące jest miejsce, które wybrali sobie na ten przyjemny odpoczynek od pracy i obowiązków — zaraz za ich plecami widzimy ogromny konglomerat budynków, dymiących kominów i dziwacznych konstrukcji przemysłowych. Później oglądamy wielkie masy wody, nad którymi człowiekowi udało się już zapanować wznosząc ogromne zapory i tamy. Jeszcze kilka dosyć spokojnych zdjęć i teraz dopiero się zaczyna robić ciekawie! Film nabiera ogromnego tempa i wszystko oglądamy w narastającym przyspieszeniu. Ukazane są ogromne zakłady przemysłowe, gdzie każdy pracownik pełni określoną rolę: niektórzy pracują przy maszynach, inni przy biurkach i telefonach. Oglądamy zatłoczone stacje metra i ludzi przypominających harujące mrówki, nie brakuje tu ulic ani setek samochodów. Są też kolejki, tłok i korki. Wszędzie trzeba się spieszyć.

Zachwyca mnie porządek tych wszystkich scen, które pozwalają człowiekowi zrozumieć jak wiele się zmieniło, jak bardzo zagrażamy naturze i jak bezmyślnie niekiedy niszczymy piękno. Dzięki środkom wyrazu filmowego zastosowanym przez Reggio łatwiej jest pojąć destruktywny wpływ naszych zachowań i różnych działań cywilizacyjnych na nas samych. Widzimy budynki, które najpierw w mozole wznosiliśmy, a teraz je bezmyślnie burzimy. Obserwujemy pracę różnych maszyn ułatwiających nam „panowanie nad światem”, które wydzielają takie ilości spalin, że „panowie” ulegają samozatruciu. Są wreszcie i takie „triumfy ludzkiej myśli”, jak bomby atomowe, których próbne wybuchy na poligonach kamery rejestrowały z dumą. Reżyser posłużył się tu cytatami z filmów realizowanych przez wojsko amerykańskie w latach pięćdziesiątych XX-go wieku. Wszystko to razem tworzy naprawdę przerażający obraz ludzkiej

aktywności, dla której określenia rzeczywiście wystarczy jedno słowo z języka wymarłego plemienia indiańskiego: „Koyaannisquatsi”.

Mimo upływu czasu, zrealizowany przez amerykańskiego zakonnika film, robi nadal ogromne wrażenie i nie bez powodu od lat cieszy się mianiem filmu kultowego kolejnych pokoleń młodych ludzi na całym świecie. Reggio nie wygłasza żadnych moralizatorskich tez, nie daje gotowych odpowiedzi. Stawia nam natomiast wiele pytań. Jego film to gorący, żarliwy apel do ludzi, błaganie, by zastanowili się nad tym, co gotują sobie i innym. Każdy widz jest tu niezbędny, bo być może to jego głos zaważy w głosowaniu nad dalszym kierunkiem rozwoju cywilizacji. Film naprawdę odbiera się głęboko osobiście, ze świadomością, że nie ma problemów globalnych. Wszystkie problemy są nasze i wymagają od nas obrony naszego regionu przed bezmyślną dewastacją.

Dlatego warto śledzić listę projekcji warszawskiego kina „Iluzjon”, by go nie przeoczyć. Tym bardziej, że w Polsce została już tylko jedna — archiwalna kopia i każda projekcja jest być może ostatnią!!! Nieprędko pewnie budżet państwa polskiego stać będzie na zakup następnej. Natomiast oglądanie tego dzieła na małym ekranie to po prostu nieporozumienie i strata czasu. A według mnie — nawet profanacja.

Anna Szczypczyńska jest tegoroczną absolwentką Kołłątaja. Obecnie studiuje polonistykę na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Ślubowanie klas pierwszych

27 września 2002 odbyło się uroczyste ślubowanie klas pierwszych. Rotę ślubowania ułożyli nasi koledzy z klasy 4a. Znalazły się w niej nasze oczekiwania związane z klimatem wzajemnych kontaktów międzyludzkich w środowisku kołłątajowców i poza nim. Z radością prezentujemy tekst roty i całym sercem przyłączamy się do tych życzeń.

Ja, uczeń XXI Liceum Ogólnokształcącego im. Hugona Kołłątaja, ślubuję:
— dbać o dobre imię Polski i godnie reprezentować swój naród w kraju i poza jego granicami

Wszyscy: ślubuję

— szanować innych ludzi i samego siebie — unikać sytuacji poniżających i nigdy nie poniżać drugiego człowieka, bez względu na jego wiek, sprawność fizyczną, rasę, narodowość, położenie społeczne i ekonomiczne oraz wyznanie

Wszyscy: ślubuję

— szanować życie ludzkie jako wartość, dbać o zdrowie własne i innych

Wszyscy: ślubuję

— dbać o dobre imię szkoły i godnie reprezentować naszą wspólnotę

Wszyscy: ślubuję

— z powagą podchodzić do obowiązków szkolnych i w pełni wykorzystać możliwość kształcenia się w naszym liceum

Wszyscy: ślubuję.

Wiersze

Małgorzata Libman, kl. 4c

Ludzie

Ludzie
Potrafią żyć
Bez czułości

Tak często
Modlą się
Do telefonów

Rozmawiają wieczorami
Z błyszczącymi lusterkami
Gubią w słodkich ciastkach słone łyzy

Tulą się do zimnych łóżek
By w ramionach poduszek
Stłumić całkiem głuchy jęk

Nocą
Gdy przychodzi strach
Rozglądają się wokoło

Nocą
Gdy zasypia dom

Nie potrafią

Listy

Każda litera pali;
staje w gardle,
choć nie próbuję
wypowiadać słów.

Początek boli,
koniec nie chce umrzeć.
Przecież nie ma już nic do dodania.

A środek.
Środek jest jak krem
między warstwami zeschniętego ciasta.

W następnym numerze:

- Tomasz Maciejewski *O śmierci, Platonie i Big Brotherze*
- Karolina Wełnicka *Weronika postanawia umrzeć*
- pierwsza część *Szatniarza* Anny Szczypczyńskiej